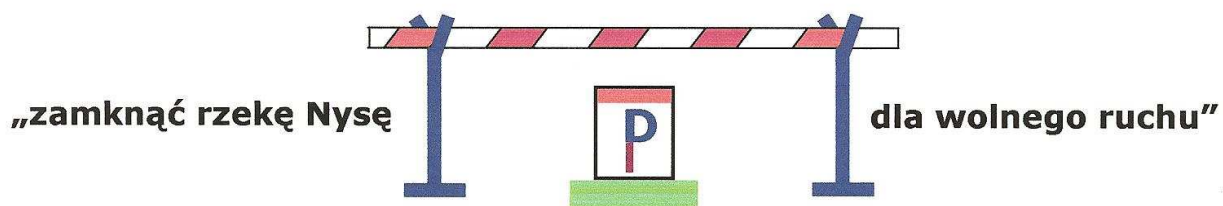


Jerzy Jaworski



Wspomnienia

1945



Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Bogatynia im. Polskich Noblistów
Towarzystwo Miłośników Ziemi Bogatyńskiej
Bractwo Ziemi Bogatyńskiej

Jaworski Jerzy

Urodziłem się w 1925 na obrzeżach Warszawy. Byłem najstarszy z sześciorga rodzeństwa. W 1939 roku ukończyłem szkołę podstawową i miałem zamiar uczyć się dalej w szkole zawodowej w Warszawie. Wojna pokrzyżowała te plany. Ojciec mój mimo ciężkiej choroby został wywieziony na roboty przymusowe w głąb Niemiec. Mieszkaliśmy w Falenicy koło Warszawy. Matka, aby utrzymać liczną rodzinę rozpoczęła wypiek chleba razowego w niewielkim piecu piekarniczym. W czasie okupacji chleb był racjonowany na kartki i władze okupacyjne nie dopuszczały wypieku chleba z białej mąki. Policja niemiecka dokonała kontroli naszej piekarni i pozwoliła na kontynuowanie wypieku chleba razowego. Piec był niewielki i mieścił tylko 20 foremek z ciastem. Ja - jako najstarszy pomagałem mamie w piekarni. Każdego ranka kupowałem mąkę z otrębami w młynie i rowerem przywoziłem ją do piekarni. Wypieczony chleb sprzedawaliśmy sąsiadom. Przydziały tłuszczu i mięsa na kartki były symboliczne, co powodowało konieczność podróży na Lubelszczyźnię i kupowanie tych produktów u chłopów. Było to surowo zakazane przez okupanta. Policja niemiecka wykonywała systematycznie kontroli w zatłoczonych pociągach i konfiskowała nabyty u chłopów towar. Ja - jako młody chłopak wyrobiłem sobie specjalną metodę unikania kontroli, trzymając pleców między nogami i przez wszystkie lata okupacji nie przytrafiła mi się konfiskata przewożonej żywności. W czasie okupacji należałem do konspiracyjnego harcerstwa.

W dniu 1-go sierpnia 1944 roku na ulicach Falenicy pojawili się pojedynczy żołnierze radzieccy, a w Warszawie wybuchło powstanie. Dotarły też wieści, że na terenach wyzwolonych tworzy się Wojsko Polskie. To spowodowało, że grupa około 50-ciu mieszkających w okolicy chłopaków postanowiła spontanicznie pomaszerować na wschód w celu zaciągnięcia się do wojska. Po dwutygodniowym marszu dotarliśmy do Krasnystawu. Tu zgłosiliśmy się do czynnej już Rejonowej Komendy Uzuppełnień. Stanęliśmy przed komisją lekarską i zostaliśmy wcieleni do wojska. Każdy z nas, który miał ukończoną szkołę podstawową dostał propozycję skierowania na kurs podoficerski

lub kurs oficerów politycznych. Zostanie oficerem politycznym uchodziło za podejrzane, więc zgłosiłem się na kurs podoficerski. Na kurs podoficerski skierowano nas do 31-go pułku piechoty . Pułk kwaterował w miejscowości Białka w obszernych stajniach po stadninie koni. Po 3-miesięcznym przeszkoleniu awansowałem do stopnia kaprała i skierowano mnie do 37 pułku piechoty.

W pułku zostałem dowódcą drużyny piechoty .Moja drużyna składała się z starszych mężczyzn mówiących w języku rosyjskim, to powodowało, że miałem początkowo trudności z porozumieniem się z podwładnymi. Kwaterowaliśmy w lesie i spaliśmy w ziemiankach .Takie warunki zakwaterowania powodowały, że dokuczały nam wszy , mimo wysiłku służby sanitarnej, która raz w tygodniu parowała nasze mundury. W pułku tym miała miejsce masowa dezercja do leśnych oddziałów partyzanckich Armii Krajowej. W celu odstraszenia od dezercji dowództwo postanowiło urządzić pokazowe rozstrzelanie dezercerów. Rozkazano nam pozostawić broń ustawioną w kozły i zaprowadzono na polanę leśną. Na polanie zobaczyliśmy dwóch żołnierzy z przywiązanymi do tyłu rękoma do drzewa. Rozpoczęło się odczytywanie wyroku. Nagle na naszych oczach skazańcy zdołali uwolnić się z więzów i zniknęli w gęstwinie leśnej. Wśród dowództwa zapanowała konsternacja.

W pierwszych dniach stycznia 1945 roku rozpoczęliśmy marsz w kierunku frontu. Drogi były zawiane śniegiem, co w dużym stopniu utrudniało marsz. Nocami temperatura spadała do – 20 stopni . Byliśmy umundurowani w mundury letnie , jedynie płaszcze były z nieco grubszej tkaniny. W tych warunkach szczególnie trudne były noce, gdy zatrzymywaliśmy się w szarym polu. Rozbieraliśmy wtedy okoliczne stogi słomy lub siana, robiliśmy podściółkę i na niej kładliśmy się spać. Jedynym przykryciem była płachta płaszcza- namiotu, służyła ona do przykrycia 3 żołnierzy. Rano, gdy się budziliśmy płachta namiotu była sztywna od mrozu. Zdarzały się przypadki odmrożenia uszu i nosów. Pożywienie, które otrzymywaliśmy w trakcie marszu było w dostatecznej ilości, lecz niesmaczne z powodu całkowitego braku soli. Nawet kuchnia polowa była jej całkowicie pozbawiona. Zdobycie odrobiny soli było marzeniem każdego z maszerujących żołnierzy. Ludność mijanych miejscowości z

entuzjazmem witała kolumny maszerującego wojska. Na kwaterach przyjmowani byliśmy z gościnnością. Po minięciu przedwojennej granicy polsko-niemieckiej rzucał się w oczy całkowity brak mężczyzn i młodych kobiet. Spotykaliśmy tylko starsze kobiety i dzieci. Niemieckie gospodynie częstowały nas chętnie domowymi zaprawami w słojach, które nazywaliśmy Wekami. Maszerowaliśmy w kierunku Pomorza Zachodniego, gdzie okopaliśmy się w drugiej linii frontu, wkrótce ruszyliśmy w kierunku Wrocławia, stąd wymaszerowaliśmy w kierunku zachodnim. W dniu 10 kwietnia 1945 zajęliśmy okopy po Armii Czerwonej nad Nysą. Po kilku dniach od zajęcia pozycji w okopach w naszym batalionie nastąpiła wymiana dowódców. Dotychczasowe stanowiska, które zajmowali Rosjanie przyjęli młodzi oficerowie po szkole oficerskiej. Szczególnie źle wspominam dotychczasowego dowódcę batalionu, który był Rosjaninem, nieustannie pijany leżał na wozie taborowym i wydawał wyroki śmierci za rzekomą dezercję. Nawet zwykłe zabłądzenie w lesie uchodziło w jego oczach za dezercję.

Po tygodniowym pobycie w okopach, nad ranem rozległa się salwa słynnych "katusz", które ostrzelały pozycje Niemców. Wiedzieliśmy, że jest to początek forsowania Nysy. Na sygnał dany rakieta pobiegliśmy nad brzeg Nysy tu zastaliśmy przygotowane przez saperów tratwy do przeprawy. Ja, na rozkaz dowódcy plutonu, przepравиłem tratwę na drugi brzeg ciężki karabin maszynowy. Tratwa była skonstruowana z dwóch beczek metalowych połączonych pniami. Gdy wracałem z powrotem po resztę kolegów od tratwy odwiązała się jedna z beczek, wpadłem do wody a tratwę uniósł nurt. Na szczęście woda sięgała mi do brody i w pław doszedłem do brzegu. Kompania nasza straciła w ten sposób środek przeprawy. Dowódca rozkazał zabrać na plecy bęben z przewodem telefonicznym i w pław rozwijając przewód przywiązałem go na drugim brzegu do drzewa. Reszta kompani trzymając się rozpiętego drutu przepравиła się na drugą stronę rzeki. W tym czasie Niemcy rozpoczęli ostrzał artyrelyjski i moździerzowy przeprawy. Pociski rozrywały się w wodzie i na brzegach. Na naszym odcinku forsowania rzeki na drugim jej brzegu był wał przeciwpowodziowy, za którym zamierzaliśmy się skryć przed ostrzałem. Nasz młody dowódca plutonu

pobiegł pierwszy i na naszych oczach eksplodowały miny przeciwpiechotne, które urwały mu obydwie nogi. Tak poznaliśmy okrucieństwo wojny. Było oczywiste, że dalej nie będziemy mogli pójść, gdyż zapalniki min przeciwpiechotnych były połączone drutami ukrytymi w trawie i wystarczyło nogą poruszyć taki drut aby spowodować wybuch. Ja, ze szkoły podoficerskiej wiedziałem, że takie miny można unieszkodliwić strzelając seriami z broni strzeleckiej po trawie i spowodować ich wybuchy. Tak uczyniłem. Wybuchło kilka pobliskich min i mogliśmy zająć stanowiska za wałem przeciwpowodziowym. Przyszedł rozkaz czekania. W czasie, gdy czekaliśmy saperzy obok naszych pozycji budowali drewniany most przez rzekę, po nim przeprawiła się nasza artyleria pułkowa. Pod wieczór od strony pozycji niemieckich nadjechały dwa nasze czołgi i gąsienicami spowodowały wybuchy min. Nasza kompania ściśle trzymając się śladów gąsienic mogła pójść na przód. Okopy niemieckie zastaliśmy puste. Mogliśmy pomaszerować do pobliskiej wioski, gdzie zajęliśmy pozycje obronne. Ponieważ było chłodno dokuczały nam mokre mundury. Na trzeci dzień doszliśmy do bagnistych brzegów jakiejś rzeczki, przez które przeprawa była niemożliwa. Drużyna moja wraz z pułkowym działem 45 MM zajęła stanowisko na skraju wsi, wkrótce wokół działa rozerwały się trzy niemieckie pociski artyleryjskie. Wśród nas było kilku rannych i zabitych. Ja, zostałem ranny w rękę, w której utkwily trzy odłamki. Sanitariusze zatamowali upływ krwi i odprowadzili mnie na tyły. Ciężarówką zostałem odwieziony do szpitala armijnego w Ruszowie. Tak zakończył się mój udział w działaniach bojowych.

W Ruszowie leżałem w kościele zamienionym na salę szpitalną. Rany moje zagoiły się szybko, lecz nie skierowano mnie z powrotem na front. Pewnego dnia rozległa się potężna detonacja. Myśleliśmy, że to nalot bombowców. Okazało się, że na stacji kolejowej w Ruszowie żołnierze ładowali do wagonów rozbrojone miny niemieckie. Widocznie któraś z min miała zapalnik i spowodowała potężny wybuch. Poszliśmy obejrzeć stację po wybuchu, widok był straszny. Po wagonach nie został żaden ślad a na pobliskich drzewach zwiślały szczątki ludzkie. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła i nasi koledzy doszli aż pod Pragę. Szpital szykował się do

ewakuacji w głąb kraju. My, ozdrowieńcy ładowaliśmy sprzęt szpitalny na wozy taborowe. Jednocześnie na pobliskich ogrodzonych pastwiskach gromadzono bydło, które miało być również przepędzone w głąb kraju. Uformowaliśmy konwój wozów, który wraz z bydłem wyruszył w drogę. Po drodze dołączali do nas Polacy, którzy byli na robotach przymusowych u miejscowych niemieckich gospodarzy a teraz zabrawszy z gospodarstw konie i wozy zamierzali udać się w strony rodzinne. Wkrótce na jeden wóz wojskowy wypadały cztery wozy cywilne. W ten sposób byli robotnicy przymusowi unikali konfiskaty koni i wozów przez żołnierzy radzieckich. Powiedziano nam, że udajemy się do Poznania. Konwój posuwał się bardzo powoli, tak że dopiero w lipcu dotarliśmy do Poznania. Tu, po rozładowaniu wozów zostałem wypisany ze szpitala i skierowany do jednostki macierzystej. W Poznaniu spotkałem mojego byłego dowódcę pluton, który w czasie forsowania Nysy stracił obydwie nogi.

Pociągiem dojechałem do Lubania, gdzie poinformowano mnie, gdzie stacjonuje mój macierzysty pułk. Z Lubania maszerując pieszo znalazłem się w Bogatyni. Kompania moja stacjonowała w Biedrzychowicach. Tu, przyjęto mnie z zadziwieniem, gdyż w ewidencji kompanijnej figurowałem jako zaginiony bez wieści. Pamiętam, że dowództwo pułku kwaterowało w budynku przy dzisiejszej ulicy 1-go Maja (byłe przedszkole). Gdy rozejrzałem się wśród kolegów to doliczyłem się tylko siedemnastu, z którymi forsowałem Nysę. Z racji mojego okupacyjnego wypieku chleba, skierowano mnie do pomocy w piekarni w Sieniawce. W tym czasie piekarnia wypiekała chleb dla wojska i dla jeńców niemieckich, którzy zakwaterowani byli w koszarach w Sieniawce. Po jakimś czasie dostałem rozkaz przekwaterowania się do Opolna-Zdroju, gdzie zostałem zastępcą dowódcy strażnicy. Żołnierze odcinka granicznego kwaterowali w jednym z byłych domów wczasowych. Na drodze z Opolna do restauracji po stronie czeskiej wybudowaliśmy szlaban graniczny i drewnianą budkę wartownika. Był to posterunek stały. W byłej restauracji po stronie Czechosłowacji stacjonowali żołnierze Czescy. Z Czechami utrzymywaliśmy stosunki dobrosąsiedzkie, ich dowódca często gościł w naszej strażnicy. Przebywając z żołnierzami widziałem, że w kieszeniach nosili zegarki, obrączki i inne cenne przedmioty. Były to przedmioty niewątpliwie odebrane

Niemcom. Żołnierze grali o nie w karty. Widziałem jak dowódca strażnicy zdobył polski traktor z przyczepą, uruchomił go, załadował przyczepę meblami i wysłał w głąb kraju. Rozpoczęto realizację osadnictwa wojskowego. Pierwsi do cywila odeszli żołnierze, którzy ukończyli czterdzieści lat. Mogli oni objąć okoliczne gospodarstwa polskie. Na zagospodarowanie się otrzymywali oni od wojska dwa konie i dwie krowy. Nadaniem objęto również żołnierzy frontowych pozostających jeszcze w służbie. Mnie nadano działkę z piekarnią w Opolnie. Akt nadania był podpisany przez starostę powiatowego. Przydzieloną mi piekarnię zamieszkiwał piekarz polski, który wypiekał chleb dla mieszkańców Opolna. Natychmiast napisałem do rodziców. Wkrótce do Opolna przyjechał ojciec z młodszym bratem. Zamieszkał razem z polskim gospodarzem i razem wypiekali chleb. Do nich dołączyła wkrótce matka z resztą rodziny. Po jakimś czasie polski piekarz dobrowolnie postanowił przenieść się do Nysy. Ja, służąc w wojsku, mogłem mieszkać w domu i pomagałem ojcu w piekarni, w czasie gdy nie miałem służby. W Bogatyni utworzono Komendę Ochrony Pogranicza, ja pozostałem w macierzystym pułku. W październiku nowo utworzona komenda przejęła od nas odcinek graniczny a nasz pułk przekwaterowano do pomieszczeń fabrycznych w Zawidowie, gdzie pozostaliśmy do wiosny. Na wiosnę pułk przeniesiono do Chorzowa.

Do cywila zostałem zwolniony w 1947 roku, natychmiast wróciłem do Opolna, gdzie dołączyłem do ojca i wspólnie wypiekaliśmy chleb. Chleba nie wypiekaliśmy dużo, gdyż osadnicy pochodzący z kresów wschodnich przywieźli z sobą zwyczaj wypiekania chleba w domu. W tym celu budowali niewielkie piece obok domów i wypiekali w nich chleb według własnej receptury. Dopiero z czasem przekonywali się do chleba wypiekanego przez piekarza. Mąkę kupowaliśmy w okolicznych młynach wodnych. Czynne były dwa młyny w Bogatyni i jeden młyn w Turossowie. Młyny te wyposażone były w silniki elektryczne, które uruchamiano przy niskim stanie wody w Miedziance. Ja, zdałem egzamin czeladnika piekarza przed komisją wyznaczoną przez Izbę Rzemieślniczą w Jeleniej Górze. Chleb wypiekaliśmy do 1952 roku, gdy zaczęto zwalczać tzw. prywatną inicjatywę. Nie mogąc zapłacić coraz to większych podatków,

złożyłem w Urzędzie Gminy akt nadania piekarni i przeprowadziłem się do pustego domu w Bogatyni. Z okresu zamieszkiwania w Opolnie pamiętam, że w pobliskim lesie zalegał wciąż pozostawiony przez Niemców transporter opancerzony. Również miejscowa cegielnia podjęła krótkotrwałe wypalanie cegły.

Mieszkając w Bogatyni zatrudniłem się przy zwózce drewna z pobliskich lasów. Potem zostałem strażnikiem w Banku. W banku poznałem moją żonę - była kasjerką. Żona moja przyjechała z rodzicami z byłego województwa Łuck, jednym z ostatnich pociągów repatriacyjnych, który rozładował się w Bolesławcu. Rodzina żony niezadowolona z panoszenia się żołnierzy sowieckich w okolicach Bolesławca postanowiła zamieszkać w Bogatyni. Zwolniłem się z banku i podjąłem na nowo pracę piekarza. W tym celu zamieniliśmy nasz dom na dom przy obecnej ulicy Bojowników, w którym znajdował się niewielki piec do wypieku chleba. Zamieszkująca tu od czasów niemieckich Niemka zgodziła się na zamianę domów. Chleb sprzedawałem okolicznym mieszkańcom Bogatyni. Po kilku latach zrezygnowałem z wypieku chleba i zostałem kierownikiem sklepu przy ulicy Turowskiej.

Przeżyłem też epizod z Urzędem Bezpieczeństwa. Dostałem wezwanie na przesłuchanie, które trwało 24 godziny bez możliwości snu. Przesłuchujący młodzi oficerowie zmieniali się co 2 godziny. Byłem zdziwiony, gdyż kierownik Urzędu Bezpieczeństwa był moim dobrym znajomym i często biesiadowaliśmy w gospodzie w Białopolu. Młodzi oficerowie stawiali nonsensowne zarzuty, że nawiązałem współpracę z zachodnim wywiadem stacjonującym na granicy w Opolnie, albo że przemycałem drożdże z Czech a na końcu zaproponowali mi zostanie tajnym informatorem. Lecz gdy dowiedzieli się że mój brat i siostra uciekli za granicę i tam żyją, zrezygnowali z moich usług.

Wychowaliśmy troje dzieci, dwoje z nich wyprowadziło się z Bogatyni. Pozostał syn, który pracuje w kopalni. Obecnie jestem na emeryturze i mimo przekroczenia osiemdziesięciu lat życia cieszę się dobrym zdrowiem. Mieszkam w dalszym ciągu w domu, w którym była piekarnia.